

# "Solidarność" to nie Wałęsa

Leszek Zborowski, członek Wolnych Związków Zawodowych (WZZ) Wybrzeża, opisał we wspomnieniach, jak pierwszy raz zetknął się z Lechem Wałęsą w czasie jednego z licznych spotkań Wolnych Związków w mieszkaniu Anny Walentynowicz: „Spotkanie z Wałęsą w tamtym czasie nie stanowiło wydarzenia godnego szczególnego zapamiętania. Był postacią zupełnie bezbarwną i nieciekawą. Nie miał poglądów sprecyzowanych na tyle, by mogły stanowić podstawę do średnio chociażby interesującej rozmowy. Był częścią naszej niewielkiej grupy kolporterów i drukarzy WZZ.

JACEK KWIECINSKI

Wałęsa cieszył się większym poparciem liderów związku niż jego „drugiego szeregu”. WZZ adresowały swą działalność do środowiska robotniczego Wybrzeża, ale brak było w ich grupie autentycznych robotników. Postanowiono tę sytuację zmienić, dopisując do składu Komitetu Założycielskiego m.in. nazwisko Wałęsy (a także np. Jana Karandzieja). Ani jeden, ani drugi z samym założeniem WZZ nie miał nic wspólnego.

Wałęsa był dla liderów WZZ kandydatem wymarzonym. Robotnik, ojciec wielodzietnej rodziny, i co najważniejsze - pracownik wyrzucony ze Stoczni Gdańskiej. Mógł służyć wręcz za związkowy plakat reklamowy, nawet jeśli nie należał do najaktywniejszych - w akcjach ulotkowych czy też obrony związkowych kolegów.

Na jednym ze spotkań w mieszkaniu Joanny i Andrzeja Gwiazdów Wałęsa poruszył temat Grudnia '70 i wyznał niespodziewanie, że podczas ówczesnego zatrzymania przez SB identyfikował na pokazanych mu zdjęciach i filmach stoczniowych kolegów. Wypowiedź ta została zarejestrowana na taśmie magnetofonowej. Była jego pierwszą, ale nie ostatnią dotyczącą współpracy z SB - z tym że potem zmieniał wielokrotnie szczegóły swej relacji. Wówczas o podpisywaniu żadnych papierów nie mówił.

Liderzy grupy przekonywali, że skoro sam to powiedział, zapewniając, że jego działanie było krótkotrwałe, należy o tym zapomnieć i oceniać go przez pryzmat jego późniejszych zadań. Wśród szeregowych członków WZZ wyznanie to wywołało jednak szokujące wrażenie - chodziło przecież o denuncjowanie, z czego wynikały potem dla nich poważne konsekwencje. Ówczesne oświadczenie Wałęsy jest faktem. Chyba, że założymy, że wszyscy świadkowie zmówili się, powodowani jakąś wczesną, niesłychaną nienawiścią wobec Wałęsy. Późniejsze jego wściekłe ataki na wszystkich świadków nie zmieniają sytuacji. „Kłamstwa o jego rzekomej współpracy” pochodzą od niego samego.

*W tym samym numerze „Arcanów” (lipiec-październik 2006), gdzie umieszczono stenogram rozmowy Wałęsy z reprezentantami reżimu w listopadzie 1982 r. (omówiłem go jakiś czas temu. pt. „Dobrze żyłem ze Służbą Bezpieczeństwa”), przedstawiono fragment wspomnień Leszka Zborowskiego, od 1979 r. członka Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża, o Wielkim Strajku w sierpniu 1980 r.; autor znajdował się wówczas w centrum wydarzeń, był bezpośrednim obserwatorem poczynań Lecha Wałęsy.*

*Sprawę tę szybko przystąpiły przygotowania do Wielkiego Strajku, ale między szeregowymi członkami WZZ a Wałęsą powstał pewien dystans. Późniejsze wydarzenia spowodowały tylko jego wzrost, a w czasie samego strajku, wobec zachowania Wałęsy, sięgnęły rozmiarów kryzysu.*

Tymczasem przygotowania szły pełną parą. Zrobiono ulotki. Żądano na nich po pierwsze podwyżek, po drugie przywrócenia do pracy Anny Walentynowicz, a także upamiętnienia specjalnym pomnikiem ofiar Grudnia '70. Wbrew później pojawiającym się twierdzeniom, w punkcie drugim nie było mowy o przywróceniu do pracy także Wałęsy. Wręcz prosiło się o to, ale Wałęsa się nie zgodził. Nie uczynił tego z powodu jakichś obaw, ale dlatego, że wówczas, na pięć przed dwunastą, zaczął raptem przekonywać wszystkich, by strajku nie organizować. Doszło do kłótni.

Wałęsa nie chciał, aby jego nazwisko znalazło się na ulotce, bo nie chciał samego strajku. Wiedzą o tym tylko ci, którzy byli wówczas w centrum wydarzeń. Wałęsę trzeba było wtedy, gdy wszystko zostało już ustalone, przygotowane, a kilkadziesiąt osób nie miało żadnych wątpliwości, gorąco przekonywać, aby strajk zorganizować. Jego - wyznaczonego na strajku przywódcę, później opowiadającego, jak sam „przy skromnej pomocy papieża i niejakiego Ronalda Reagana obalił komunizm” - pisze autor wystąpień. Wałęsa usunął się wówczas w cień i wypłynął ponownie w czasie samego strajku. Jednak szeregowi członkowie akcji przestali już na niego liczyć. Przyszłe wydarzenia potwierdziły te obawy. Spóźnienie się Wałęsy na strajk motywuje on słynną koniecznością przeskakiwania przez płot. Brzmi to dziwnie - bo przed nim znalazło się w stoczni wiele osób nie-będących pracownikami zakładu. Nie mieli żadnych trudności z normalnym wejściem do stoczni. W każdym razie Wałęsa znalazł się w końcu w Gdyni i przyłączył do strajkujących, z których trzech należało do WZZ. Wzniósł parę okrzyków już stał się przywódcą. Mało kto jednak wie, co wydarzyło się potem. Wszyscy byli zgodni, że zasadniczym elementem akcji jest obieg informacji, zwłaszcza że zaczęły już strajkować inne zakłady. Należało jak najszybciej uruchomić stoczniową drukarnię. Wałęsa jednak kazał drukarnię zamknąć i postawił przed nią straż. Do dziś nie wytłumaczył tej zdumiewającej decyzji. O jakiejś „pomyłce” nie mogło być mowy. Rozpoczęto więc przewóz ulotek ze Stoczni Gdynińskiej, próbowano tego nawet drogą wodną, bo część kolporterów została zatrzymana i pobita. Drukarnia w Gdyni została natychmiast otwarta. Ta w Gdańsku była przez tydzień zamknięta. Autor wspomnień wraz z kolegami musiał uczyć stoczniowców prymitywnej metody wydruku z użyciem wałków. To wówczas związkowiec Andrzej Butkiewicz, mówiąc o Wałęsie, powiedział kolegom niemal proroczo: „On położy ten strajk”. Wałęsa uczynił to już trzeciego dnia, działając w całkowitej sprzeczności z wcześniejszymi ustaleniami. Późniejsze tłumaczenia, że zachował się tak, bo dyrektor dołączył do negocjujących osoby z dyrekcji, nie brzmią przekonująco. Wałęsa (i stoczniowcy) byli już w pełni panami sytuacji. Na zgodę dotyczącą wyłącznie podwyżek mógł się po prostu nie zgodzić. Zwłaszcza, że chodziło wówczas także o solidarność z innymi, mniejszymi zakładami.

Po rozmowach w dyrekcji Wałęsa z wielkim zapamiętaniem otworzył okno, oświadczył, że strajk jest wygrany, bo uzyskano podwyżki, i wszyscy mogą iść do domu (uzyskano też zapewnienie dotyczące tablicy - zamiast pomnika-ku czci ofiar Grudnia 70 i to było wszystko). Sprawa przywrócenia do pracy Anny Walentynowicz też nie została załatwiona przez Wodza. To grupa stoczniowców zmusiła dyrektora do wystąpienia po nią samochodu. „Pogromcę komunizmu” całkowicie zadowolili podwyżki. Spełniły się najgorsze oczekiwania młodych związkowców.

Wałęsa rozbił strajk i zniknął. Sytuacja stała się dramatyczna. Tylko dzięki młodym dziewczynom z WZZ i Ruchu Młodej Polski, a zwłaszcza Aliny Pieńkow-skiej, która z ogromną determinacją przekonywała ostatnią grupę stoczniowców do pozostania, udało się sprawić, że strajk nie upadł definitywnie. Wałęsy już to nie interesowało. Gdy rankiem do stoczni zaczęli przybywać pracownicy (a także delegaci innych zakładów), sytuacja była krańcowo niejasna, a nawet dramatyczna. Panował chaos. Anna Walentynowicz stanęła na wózku i robiła co mogła, by skłonić stoczniowców do kontynuowania akcji. Wtedy do Bogdana Borusewicza przysłała grupa młodych stoczniowców. Byli skłonni strajk kontynuować, ale jak powiedział jeden z nich, „ludzie za babą nie pójdą”.

Zaczęto wybierać nowego przywódcę strajku, ale kłopot był w tym, że większość członków WZZ stała na czele akcji protestacyjnych w innych zakładach. Z gdańskiego Przymorza przywieziono Jana Karan-dzieja. Znalezione kilku innych. Zaczęto dyskutować, kto będzie najlepszym kandydatem. I wówczas, nagle, pojawił się znowu Wałęsa. Kolegów z WZZ nie był już w stanie niczym zaskoczyć. Skłaniano go jednak do tego, aby chociaż przemówił do ludzi, do czasu wyboru przywódcy. Odmówił zdecydowanie, i to dwukrotnie. Ktoś z tłumu krzyknął, że jest agentem. Było wielu świadków tej sceny. Jak opisuje autor wspomnień, niezwykle zdenerwowany Bogdan Borusewicz [niewykluczone, że dzisiaj zdarzenia te by bagatelizował - J.K.] przypomniał Wałęsie, co w przeszłości zrobiły dla niego WZZ i że jest im winien przynajmniej tyle, by ratować strajk, który rozbił. Wałęsa raz jeszcze odmówił. Ale w tym momencie na placu było już wielu stoczniowców. Nie rozumieli, co się dzieje. Po dłuższym zamieszaniu ktoś wepchnął Wałęsę na wózek, a z tyłu zaczęto skandować jego imię. Nie miał już wyjścia. Wkrótce ponownie był „wodzem”.

Członkom WZZ pozostało już tylko pilnować, by nie rozbił strajku ponownie; i rzeczywiście także później doszło do wielu incydentów. Reszta jest znana. Powstał Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. A fama Wałęsy, także poza Wybrzeżem, a nawet Polską, stale narastała. Tylko zorientowani wiedzieli, jak było, i ich, delikatnie mówiąc, nieufność do Wałęsy pozostała już na stałe. Jednak dla wielu milionów stał się już symbolem, wielkim rewolucjonistą. Sytuacja była nie do naprawienia. Po zakończeniu strajku odbyło się zebranie członków WZZ. Wałęsa oczywiście nie przybył. Zgoła jednogłośnie zażądano od liderów, by natychmiast wycofali Wałęsę z przywódczej roli tworzącej się „Solidarności”. Jednak wobec percepcji w kraju nie było to już realne. Grupa kilkudziesięciu osób do-kładnie znających sprawę nie liczyła się. Liczyła się Polska, miliony, które ani wydarzeń, ani zachowania Wałęsy nie znały. Usunięcie „rewolucjonisty wszech czasów”, „przywódcy ponad przywódcami” oraz „antykomunisty nr 1” (sic!) mogło tylko zaszkodzić sprawie, wciąż na terenie całej Polski niepewnej. A Wałęsa, już niezwykle mocny, rozpoczął nie tyle dalszą walkę z komunizmem, ile usuwanie z gdańskiej centrali wszystkich potencjalnych rywali - członków WZZ, prawdziwych organizatorów Wielkiego Strajku, najbardziej zasłużonych, bo początkowych, faktycznych twórców Sierpnia. Niektórych mógł tylko usunąć na boczny tor, ale czystka, niekiedy dokonywana niezmiernie brutalnie, w zasadzie bez jakichkolwiek pretekstów - powiodła się.

Wydaje się, że w tej chwili jest mniej istotne, czy Wałęsa (jak się chwalił wobec przedstawicieli MSW w 1982 r.) „wyrzucił wszystkich, którzy się wam nie podobali”, czy też po trupach dążył do jedynowładztwa. Pozbywanie się znanych osób połączone było z jednoczesną ich dyskredytacją, także na przyszłość, na stałe.

Wałęsa szybko rozpoczął też inną działalność, o której motywach można tylko spekulować. A mianowicie zatrudnianie na wyższych stanowiskach oczywistych dla wszystkich ubeków. To był nie tylko Wachowski, ale wiele innych osób. Przeciw zatrudnieniu niejakej Celejewskiej (na stanowisku szefa kadry) zaprotestowała cała Komisja Zakładowa MKZZ (ok. 130 ludzi). Wałęsa po prostu Komisję rozwiązał. Owa Celejewska współpracowała potem ochoczo z komunistycznymi służbami likwidującymi majątek „Solidarności”. Gdy autor wspomnień po zakończeniu stanu wojennego odbierał od niej dokumenty, zapytała z przekąsem: „No i co, panie Leszku, warto było dla tej »Solidarności« tak się poświęcać?”.

Wałęsa uwielbiał z jakichś przyczyn *otaczać* się podobnymi ludźmi. A usuwać i obrzucać wyzwiskami tych, którzy tworzyli wolny ruch związkowy. Robił to i za czasów swej prezydentury). Dalsze koleje losu Wodza są znane. Warto jednak to krótkie, ale istotne, bo ukazujące moment „narodzenia legendy” wspomnienie uzupełnić paroma uwagami. Mimo burzliwości i zmienności tych losów - zawsze wszelako, jak na pogromcę komunizmu przystało, w różnych latach i okresach demonstrował swą niechęć do antykomunizmu (aż do czasu, gdy uznał, że pozytywne będzie określanie się jako pogromca komunizmu; okres apelowania o tzw. przyspieszenie był wyłącznie oportunistycznym chwytym).

We wstępie wspomnień autor formułuje trzy podstawowe tezy. Po pierwsze stwierdza, że nie czuje się odsunięty, niedoceniony, lecz zadowolony z życia i ze wspomnień, które zachował (mieszka obecnie w USA). Ten standardowy argument wielbicieli fałszu uznaje, słusznie, za „żałosny”. Po drugie rozprawia się, nazywając rzecz wprost, z mantrą: „Nawet jeśli Wałęsa coś w przeszłości przeszkrobał, to późniejsze zasługi” itd.

Owe twierdzenie o „późniejszych zasługach” nazywa podstawą sporu. I nie chodzi tu nawet o jakieś es-beckie związki Wałęsy, epizody czy nie epizody - ale o ogólną ocenę i charakteru, i działań Wałęsy. W czasach, które opisuje, i potem. Wreszcie uwaga podstawowa: „Solidarność” to nie Wałęsa. Nigdy nią nie była i post factum się nie stanie. „Solidarność” to było 9 milionów Kowalskich i tysiące dziś bezi-miennych bohaterów. Chociażby Wałęsa swe niebotyczne ego jeszcze powiększył, nie sprawi, bo sprawić nie może, by zostało to zmienione na hasło: „»Solidarność« równa się Wałęsa” lub zgoła: „Niepodległa Polska to Wałęsa”. Nawet gdyby tyjące klakierów, niekoniecznie z mi-łości do Wodza, powtarzało to codziennie. Patentowany nonsens pozostanie nonsensem. Chociaż należy się obawiać, że przyszłe pokolenia zaakceptują go z całym dobrodziejstwem inwentarza. Wszelako jeszcze żyją ci, którzy od podszewki pamiętają tamte czasy. <

**Dlaczego omawiam wspomnienia Leszka Zborowskiego? Otóż dla wiedzy. Nie chodzi mi przy tym, co zresztą stwierdzam w tekście, o wykazywanie takich czy innych powiązań Wałęsy: Wówczas czy potem. Istotne jest natomiast ukazanie jego zachowania w czasie największej próby. Było zapowiedzią wszystkich jego późniejszych posunięć. Tłumaczy bardzo wiele. A pozostaje praktycznie nieznanne. I czy było powodowane obawą przed ujawnieniem jakiegoś papierka, czy czymś gorszym, lub jego przyczyną było tchórzostwo, analfabetyzm polityczny bądź maniacka megalomania, oceny tej postaci nie jest w stanie zmienić. Nie mam zamiaru ani chęci podważać legendy czy też symbolu. Już dawno stwierdziłem, że to rzecz beznadziejna. Chociażby Wałęsa popełnił jeszcze dziesiątki szaleństw, a jego kompleks ważności i wyższości wzrósł jeszcze bardziej, symbolem pozostanie. Także za granicą, która praktycznie nie zwraca uwagi na nasze wewnętrzne awantury. Doskonale wiedzą to i ci, którzy rzekomo bronią Wałęsy (obrzucanego przez nich najgorszymi wyzwiskami, gdy na krótko wystąpił przeciw Michnikowi i Towarzystwu), walczą w istocie o panowanie nad pamięcią, czyli o władzę. To jednak pozostawiam dziś na boku.**

Obiecowałem spory czas temu nie pisać więcej o Wałęsie. Wydawało mi się, że poza tym, iż jest to zawracanie kijem Wisły, on sam kompromituje się wystarczająco. Jednakże, kiedy jako pretekst czy nie pretekst akcji o większych, szerszych celach zaczęto nagle bełkot Wałęsy brać poważnie, nobilitować, nie mogłem nadal milczeć. Stał się „autorytetem” z prostej przyczyny - bo jest przeciwnikiem Kaczyńskich. Gdyby był ich zwolennikiem, nawet najmniejszej awantury by nie było. Zdenerwował mnie też refren tych, którzy bronią prawdy, ale podkreślają zarazem niezwykle, niebotyczne, trudne do wymierzenia zasługi Wałęsy. Lub wręcz nazywają go „ojcem”.

Cytowane wspomnienia potwierdza wiele źródeł. Mówią chyba same za siebie. Nie spowodują zmiany zdania tych, którzy wówczas z

oddali czy też z zagranicy uznali raz na zawsze, że Wałęsa to bohaterски przywódca, który niemal jednoosobowo utworzył „Solidarność” i zmienił bieg wypadków. Legenda pozostanie legendą. Nic to.

Wiedza, prawda - chociażby były ulotne i mało się zmieniły, są wartością samą w sobie. Jak są ulotne, przekonamy się zapewne za rok, gdy będzie się obchodzić 20-lecie odrodzenia „Solidarność” (a może nawet 20-lecie osobistego sukcesu „wielkiego przywódcy”, który doprowadził do pojednania z komunistami).

Nikt już nie pamięta, że reżim nie zgodził się wówczas na reaktywowanie „Solidarność”. Powstała nowa, od nowa rejestrowana, już w pełnej krasie, bez elementów niekonstruktywnych, za to z udziałem tych, których Zjazd „S” w 1981 r. do żadnych władz związku nie dopuścił - Michnika, Geremka itd.

Pozwolę sobie niejako przy okazji na parę osobistych uwag. Moje zaufanie do Wałęsy trwało niezwykle krótko. Pamiętam, jaki był wściekły nie tylko dlatego, że ów Nobel był o rok spóźniony, ale głównie z tego względu, że przyznano go Wałęsie, a nie NSZZ „Solidarność”. Później obserwowałem zachowanie Wałęsy np. po śmierci księdza Jerzego. Deklarowanie przed częściowymi wyborami 1989 r. pospołu z Jaruzelskim potrzeby karczowania chwastów - szczeniaków wykrzykujących niezrozumiałe hasła antykomunistyczne, czyli zdaniem Wałęsy, anarchistów.

Rządy Mazowieckiego (i wybranego głosami solidarnościowego OKP prezydenta Jaruzelskiego) były dla kogoś, kto pragnął dekomunizacji kraju i przynajmniej odrobiny tak niezbędnej wówczas śmiałości politycznej - koszmarem. Głosowałem, więc na Wałęsę, sądząc, że chociaż trochę coś się w tym względzie zmieni. Pochlebiam sobie jednak, że granicy nie przekroczyłem - tj. Wałęsy nie opiewałem. Leitmotivem mej ówczesnej publicystyki było hasło: „każdy tylko nie Mazowiecki”. Mimo to na łamach pisma LDP „Niepodległość” rozgorzała polemika. Niektórzy koledzy profetycznie stwierdzali wprost - „Przecież Wałęsa zdradzi”.

Nie sądzę jednak, by ktokolwiek przypuszczał, że prezydentura Wałęsy będzie tak makabryczna, najgorsza z możliwych. Pogodził się rychło z Michnikiem i towarzyszami, otoczył ubekami. Postać Wachowskiego była sygnałem jednoznacznym (dwie udokumentowane książki na jego temat też już są zapomniane). Złota szabla dla politruka Kołodziejczyka, postawa wobec baz sowieckich - nie warto wymieniać więcej. Wielki protest przeciw rządowi Wałęsy nie był udziałem Kaczyńskiego i paru sfrustrowanych polityków. Kto zna Warszawę, pojmie jego rozmiary - gdy czoło pochodu składającego się z ludzi z całej Polski docierało do Belwederu, jego koniec znajdował się jeszcze na placu Trzech Krzyży. Zamiast dokonać deubekizacji, dekomunizacji, Wałęsa zamazał do reszty wszystko.

A ja już w „GP” nr 1 napisałem, co sądzę o Wałęsie. Min. zauważyłem, że w tak nietypowym miejscu, jak dedykacja książki ofiarowanej Gierkowi, de facto przyznał się do „incydentu”. I chociaż nie przypuszczałem, że Polacy w większości zezwolą Kwaśniewskiemu rządzić dwie kadencje, przyznam bez najmniejszego wstydu, że wybory między nim a Wałęsą - zbojkotowałem. Nigdy już i w żadnych okolicznościach na Wałęsę bym nie zagłosował. Zresztą, ile głosów otrzymał podczas ostatniej swej próby - 1 czy też 1,5 proc.? Wydawało się, że przynajmniej za życia pokolenia, które jeszcze coś pamięta, jakieś elementarne proporcje, elementarna ocena wydarzeń 1980,1981 czy też 1989 r. została przywrócona. A tu raptem okazało się, że Wałęsa na powrót jest „autorytetem”. Nie zamierzam „specjalizować się w Wałęsie”, bo - napiszę coś zapewne wbrew zgoła wszystkim - nie jest moim zdaniem tego wart. Ale w chwilach takich jak obecna od prawdy uciekać nie zamierzam. Natomiast do zmiany zdania o osobie rzekomego „pogromcy komunizmu” nikt i nic mnie nie skłoni.

J.K.